

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

### róg Rynku głównego

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostymów bluzek  
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.**

**Sprzedaż materiałów na metry.**

**WŁASNA PRACOWNIA.**

Fryderyk Mauzens.

## PARYSKIE GADY.

27

Gdy obydwie przyjaciółki wyplakały narazie wszystkie swe łzy, Ewa uściśnęła po raz ostatni swą przyjaciółkę i rzekła:

— Uciekam... Czuje, że ja tu zaraz zmęknę... Skończy się na tem, że wyciągniesz ode mnie jakie głupie przyrzeczenie... Ach, panie niebieski! Ładniebym się ubrała! I jutro opuściłabym jedyną, oddawaną wyczekiwana sposobność, jaka nigdy nie powraca, aby coraz bardziej grzęznąć w nędzy bez końca!... Do widzenia! Zjawię się u ciebie, gdy wszystko już będzie skończone!

I piękna prasowaczka pośpiesznie wyszła. Ludwika odprowadziła ją aż do bramy domu i długo patrzyła na nią, dopóki Ewa nie znikła w zmroku. Potem z głową opuszczoną na dół, wracała do swego pokoiku. W chwili, gdy dochodziła do ciemnego, wielkiego i wilgotnego podwórza, usłyszała, jak ktoś ją woła:

— Panno Ludwiko!

Był to ojciec Ladroule. Stróżka miała za męża zanego człowieka, kolosa o potężnych ramionach, który dopiero wieczorem wracał z ślusarni do domu. Biedak ten wiedział już z doświadczenia, że krzyki ani razy nie pomagają, gdy, jak to się często zdarzało, żona jego przebierze miarę w kieliszku, będąc przytem łagodnego usposobienia, znoślił ten dopust boży w cichości. On też wieczorami gasił gaz i zamiatał podwórza, schody i korytarze.

— Proszę! — odrzekła Ludwika, odwracając się.

— Są dwa listy dla pani... Jeden już zastałem po przyjeździe do domu... a drugi przed chwilą przyniesiono z poczty pneumatycznej...

— Bardzo dziękuję.

Ludwika wzięła do ręki oba listy i spojrzała na adresy. Zbladła odrazu i czem prędzej oddaliła się, by ukryć swe zmieszanie, na jednym bowiem z listów poznała pismo Piotra. Powróciwszy do swego pokoju, siadła koło małej lampki naftowej i drżącymi rękami rozpieczętowała list dawnego swego narzeczonego. Potem położyła go na stole. Nie śmiała go odczytać.

Otworzyła drugi list i szybko przebiegła go oczami.

— Och! — zdziwiła się.

Była to elukubracja Raula de Lagunana. Powróciła znowu do pisma, na którego widok serce jej przestawało bić. Naraz szybkim ruchem wyciągnęła z koperty arkusz papieru, rozłożyła go i swemi szeroko rozwartymi oczami objęła jednocześnie wszystkie napisane słowa. Potem mdlejąc prawie z radości, opadła bezsilnie na oparcie krzesła.

VXIII.

Gdy Piotr Cartelague wyszedł z tej podrzędnej restauracji, wymizerowany jegomość o podejrzanym minie zażądał znowu przyborów do pisania. Siedział on przy jednym ze stołów, znajdujących się wprost okna, wychodzącego na ulicę. Pijąc małymi łykami absynt, wzrok miał utkwiony na ulicę. Gdy zasiadł do pisania, pilnie i uważnie patrzył na papier, od czasu do czasu zaś rzucał spojrzenie ku bramie domu położonego naprzeciw. Ten niezwykle gość był jednym z agentów, którzy mieli śledzić Ludwikę. Wstrętne zawód, jaki sobie obrał, widocznie nie wzbogacił go, twarz bowiem jego była chuda i wynędzniała, jak u człowieka zmęczonego i wygłodzonego; ubranie jego swym krojem i materiałem

wskazywało na swe tandetne pochodzenie. Na służbie był dwanaście godzin dziennie, strzegąc ciągle bramy domu pod liczbą 56 przy ulicy Laugier, lub też drepząc bezustannie po ulicy za byłą nauczycielką. Miał do zredagowania dwa raporty, jeden, który Karol Turner otrzymywał o trzeciej godzinie po południu i drugi wieczorny o dziewiątej godzinie. Do każdego z tych raportów bywał dołączony jeszcze jeden, układany przez agenta, mieszkającego przy pokoju Ludwika. Ten drugi agent miał sobie powierzone w nocy nie tylko śledzenie wewnętrzne, lecz i zewnętrzne. Drzemał on przy swoich półotwartych drzwiach, gotów nie tylko do podsłuchiwania tego, co się dzieje u młodej panny, lecz i do śledzenia jej, gdyby wychodziła. I każdy raport, który przychodził na ulicę Boissy-d'Anglas o dziewiątej rano, był jego dziełem.

Pierwszy z tych szpiegów był narazie zajęty opisaniem śledzenia Ludwika w czasie, gdy odnosiła bieliznę do notaryuszowej. Pisał równem, pięknym pismem, cechującym urzędnika lub też nauczyciela.

Po skończeniu swego sprawozdania, wypił, nie śpiesząc się, absynt, a potem zażądał podania sobie obiadu. Śniadanie i obiad jadł zawsze tutaj przy tym samym stole, nie spuszczać nigdy z oka bramy domu. Właściciel restauracji domyślił się łatwo, kim jest ten jego nowy gość, ponieważ jednak płacił za wszystko, nie czynił mu żadnych przykrości.

W kilka minut po ósmej agent śpiesznie wstał od stołu. Ludwika ukazała się na chodniku. Młoda panna skrzyła na lewo i poszła przed siebie. — W dziesięć minut potem wróciła do domu, a wynędzniały jegomość, który jej towarzyszył w przyzwolonej odległości, zajął znowu swe zwykłe miejsce w restauracji. Kelner na znak gościa, przyniósł znowu papier, atrament i bibułę. Agent musiał coś dopisać do swego raportu.

W pół godziny potem przed restaurację zjechał młody chłopiec na rowerze, maszynę swą postawił przy drzwiach i wszedł do środka. Szpieg zapieczętował pośpiesznie swe sprawozdanie i podał je przybyłemu. Chłopiec schował je do kieszeni i wyszedł, nie mówiąc ani jednego słowa. Następnie przeszedł przez ulicę i znikł w bramie domu pod liczbą 56. Po pewnej chwili ukazał się znowu, siadł na rower i odjechał. O dziewiątej godzinie Euzebiusz Tetard otrzymywał z rąk chłopca dwie koperty zapieczętowane.

Służący nie interesował się tem wcale, co też mogło w nich być. Było mu to obojętne. Użalał się tylko nad sobą, iż według rozkazu musi odnosić je za każdym razem naprzód do Panajona, a potem do Neuilly, gdzie na nie czekał Maksym Duret.

Herkules odbywał te kursy zawsze „na gumach“, poczem ukołysany łagodnym chwianiem się dorożki udawał się do swej stałej winiarni dla pokrzepienia sił. Mimo, iż każda taka wycieczka kończyła się przy kieliszku, z całej duszy jednak przeklinał tę regularną, tajemniczą korespondencję.

Tego wieczoru Panajon był u Larue razem z Joem Smithem, Garriguem, de Baudricourtem i jeszcze kilkoma innymi wybitniejszymi osobistościami.

— Panowie pozwolą? — rzekł do swych towarzyszy, gdy służący podał mu na srebrnej tacy dwie koperty, przyniesione przez Tetarda.

W trzy minuty potem Herkules z raportami w kieszeni, opuszczał restaurację i jechał do Neuilly.

— Ani minuty spokoju! — użalał się fałszywy Karol Turner, biorąc się znowu do jedzenia. — Jestem przepracowany!

— Okazuje się, że ten trust czekoladowy nie jest drobnostką — zauważył jeden z biesiadników.

— Gdyby to tylko on jeden był! — odrzekł złodziej. — Lecz ja prowadzę jeszcze dwanaście innych, nie mniej ważnych. Naprzykład obecnie wprowadzam w czyn jeszcze jeden trust, o którym będą

szeroko pisali, a jest on już na dobrej drodze... Nie potrzebuję dodawać, że jest to daleko donioślejszy od czekoladowego... Powiem tylko, iż jest to trust radiowy!

— Radium!?

— Tak jest, panowie.

— Lecz na całym świecie jest go zaledwie kilka gramów! — zauważył markiz de Baudricourt.

— Ma za to niezmierną wartość! — odparł Panajon.

— To prawda! — przyznał Garrigue.

Dla Amerykanów niema rzeczy niemożliwej. Joe Smith uznał taki trust za zupełnie wykonalny i żałował nawet, że to nie jego pryncypał wpadł na taki pomysł.

— Przytem — ciągnął dalej mniemany Australczyk — jednym z głównych zadań trustu jest eksploataowanie wielkich kopalni blendy, z której dobywa się to dziwne i cenne ciało... Och! wiem dobrze, że nie możemy ważyć go na kilogramy... Nie zrujnują nas koszty, poniesione na przechowywanie go i na budowanie dla niego magazynów... A mimo to będziemy sprzedawali je za miliony...

— Wierzę w to zupełnie! — potwierdził Smith z przekonaniem.

Inni biesiadnicy patrzyli na Panajona z podziwem, zmieszonym z zachwytem.

— A spodziewam się — zakończył złodziej — że me nowe królestwo każe zapomnieć o dawnym, z którego, jak wyznam, nie jestem zbyt dumny... Obecnie nie będę królem czekoladowym, lecz królem radium!

— Brawo!... brawo!...

— Wspaniale!...

Markiz de Baudricourt odezwał się poważnym tonem.

— Piękny to tytuł, panie Turner, wzbudzi on w wielu zazdrość!

Zjawiła mu się odrazu myśl, by się wkroczyć do rady zarządzającej tego niezwyklego przedsiębiorstwa.

Podano kawę... Panajon wypił swą filiżankę lednym łykiem i wstał.

— Proszę panów bardzo o wybaczenie — rzekł, lecz na razie nie mogę dłużej cieszyć się waszym towarzystwem...

— Jeszcze interesa?

— Jeszcze i ciągle!

— Jaktó! O tej porze?

— Pan się zabija!

— Cóż robić! — odparł Panajon.

Uściśkał serdecznie wyciągane do siebie pośpiesznie ręce i wyszedł. Samochód jego stał przed restauracją. Złodziej, siadając, dał szoferowi adres, który tak go zadziwił, iż palacz prosił o powtórzenie go.

— Ach! dobrze! — odrzekł, przekonywując się, że się nie mylił.

Samochód wyjechał z ulicy Royal, przebył plac Zgody, minął most i podążył szybko na bulwar Saint-Germain. Po chwili skręcił na bulwar Saint-Michel i wkrótce zagłębił się na lewo w labiryntie małych uliczek starej łacińskiej dzielnicy. Zwalniał kilkakrotnie biegu i wreszcie zatrzymał się przed małą restauracją. Panajon wysiadł zaraz z samochodu i wszedł do zakładu. Było w nim jeszcze kilku późnych gości. Mieli dość dziwny wygląd. Każdy z nich miał na głowie czerwony fez. Restauracja ta była małym zakątkiem Turcji w Paryżu. Wszystko tu było tureckie, kuchnia, właściciel, służba i goście. Każdy cudzoziemiec może być prawie pewnym, że w tem wielkiem kosmopolitycznym mieście znajdzie zawsze podrzędną knajpę lub zakład pierwszego rzędu, w którym jego rodacy mogą otrzymywać swe krajowe potrawy. Panajon znał wszystkie te restauracje, grecką, węgierską, bułgarską i inne. Najczęściej bywał w tureckiej, gdzie się schodzili dawni jego znajomi z Konstantynopola.